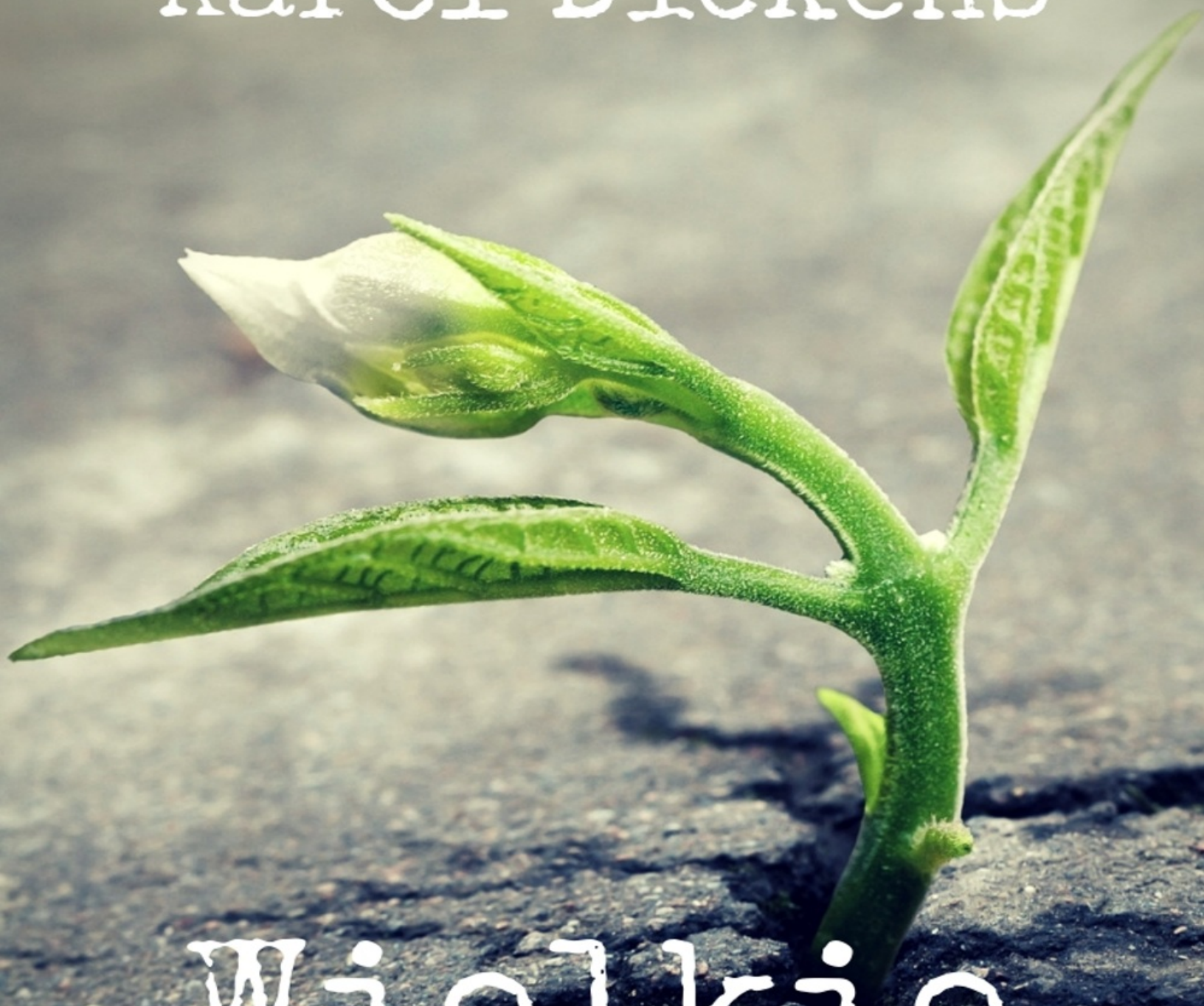


Karol Dickens



Wielkie
nadzieje

Karol Dickens

Wielkie nadzieje

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Karol Dickens
„Wielkie nadzieje”

Copyright © by Karol Dickens, 1918
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia Św. Wojciecha
Tłumacz: Antoni Mazanowski
Tytuł oryginału: Great Expectations
Wydawnictwo: Księgarnia Św. Wojciecha
Poznań, 1918

ISBN: 978-83-8119-418-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Rozdział I.

Nazwisko ojca mego było Pirrip, na chrzcie zaś dano mi imię Filipa. W swym dzieciennym języku połączyłem oba te imiona, które tym sposobem zlały się w krótsze i łatwiejsze Pip. I ja sam i wszyscy ludzie nazywali mnie Pipem.

To, że ojciec nazywał się Pirrip, stwierdzał napis na nagrobku, a także świadectwo mej siostry Józefowej Hardżeri, żony kowala. Nigdy nie widziałem ojca i matki, ani nawet ich portretów (żyli jeszcze przed wynalezieniem fotografii), pojęcie zaś o ich wyglądzie łączyło się w mej dzieciennej wyobraźni z nagrobkami. Kształt liter na nagrobku ojca nasunął mi dziwną myśl, że był to rosły, silny i smukły mężczyzna z czarnymi, wijącymi się włosami. Ze stylu zaś napisu na płycie matki po dzieciennemu wywnioskowałem, że matka moja była kobietą chorowitą, a twarz jej pokrywały wyrzuty. Pięć małych kamieni o formie romboidalnej, każdy na półtojej stopy długi, leżących rzędem za mogiłami, rodziców i poświęconych pamięci pięciu mych braciszków, którzy rychło usunęli się od udziału w walce życiowej, wzbudzały we mnie dziwne przekonanie, które z uszanowaniem pielęgnowałem, że wszyscy rodzili się, leżąc na grzbiecie z rękami w kieszeniach od spodni i nie wyjmowali ich przez całe swe życie.

Żyliśmy w bagnistej okolicy, w pobliżu rzeki i o dwadzieścia mil[1] od morza. Pierwsze silniejsze ważenie odniosłem w życiu pamiętnego wilgotnego wieczora, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że ponure, zarosłe pokrzywami miejsce było cmentarzem; że Filip Pirrip, należący do tej gminy i Georgina,

żona jego, pomarli i są pochowani; że Aleksander, Bartłomiej, Abraham, Towit i Roger, dzieci wyżej wymienionych, pomarły również i zostały pogrzebane; że ponure pustynne miejsce poza cmentarzem, poprzecinane we wszystkich kierunkach kanałami, groblami, rowami, na którym gdzieniegdzie pasło się bydło — moczar; że kręta, połyskująca ołowiem, smuga w dali — rzeka; że widniejąca na dalekim horyzoncie płaszczyna, od której dmie wiatr — morze; a mała, drżąca ze strachu na widok tego wszystkiego i płacząca istota — Pip.

— Przestań beczeć! — krzyknął straszny głos i z poza mogiły w pobliżu kościelnego portyku wynurzył się jakiś człowiek. — Ciszej, mały dyable, bo poderżnę ci gardło.

Był to straszny człowiek w grubym szarem ubraniu i z wielką, żelazną okową na nodze, bez kapelusza, w znoszonych chodakach, z głową okręconą w starą, brudną szmatę. Był on przemoknięty na wylot, obryzgany błotem, pokaleczony o kamienie, poparzony pokrzywą i pokłuty trzcina. Chromał i drżał na całym ciele, oczy jego błyszczały, a zęby szczękały. Schwycił mnie za kurtkę.

— Panie, nie podrzynaj mi gardła! — błagałem go ze strachem. — Zmiłuj się, nie czyń tego!

— Jak się nazywasz? — rzekł — żywo!

— Pip, panie.

— A dalej — mówił człowiek, nalegając. — No, mówże!

— Pip... Pip, panie!

— Pokaż, gdzie mieszkasz — rzekł. — Pokaż palcem!

Wskazałem stronę, gdzie leżała nasza wioska, nad brzegiem rzeki, w oddaleniu mili, lub nieco więcej od kościoła, otoczona

olchami.

Człowiek popatrzył chwilę na mnie, następnie wywrócił mnie na dół głową i wypróżnił mi kieszenie. Nic w nich nie znalazł prócz kawałka chleba. Gdy kościół odzyskał poprzednie położenie... bo w chwili, gdy mnie schwycił za nogi i wywrócił głową w dół, zdawało mi się, że szczyt jego znajduje się u mych stóp — kiedy kościół znalazł się w poprzednim położeniu, siedziałem na wysokim nagrobku i drżałem na całym, ciele, póki jadł mój kawałek chleba.

— No, szczeniaku — rzekł, oblizując wargi — ale też masz pyski!

Tak, policzki moje były dość tłuste, choć wogóle byłem na swój wiek mało rozwinięty.

— Niech mnie dyabli wezmą, jeśli ich nie zjem — rzekł, groźnie poruszając głową — bo i dlaczegożbym nie miał ich zjeść!

Poważnie wyraziłem nadzieję, że tego nie zrobi i jeszcze silniej schwyciłem płytę grobowca, na której mnie posadził, po części aby się na niej utrzymać, po części by stłumić łyzy.

— Posłuchaj-no! — rzekł człowiek. — Gdzie twoja matka?

— Tu, panie — odrzekłem.

Drgnął, odbiegł na kilka kroków, następnie stanął i zaczął patrzeć na mnie przez ramię.

— Oto tu, panie! — rzekłem trwożliwie. — Właśnie Georgina. To moja matka.

— O! — rzekł, wracając. — To znaczy, że twój ojciec wraz z twoją matką?

— Tak, panie! — odpowiedziałem. — On również podzielił jej

los.

— Aha! — mruknął. — U kogoż mieszkasz?... Jeśli przypuścimy, że będziesz żył... jeszcze nic nie zdecydowałem co do tego.

— U siostry, panie!... U pani Józefowej Hardżeri... żony Józefa Hardżeri, kowala!

— Kowala?! — krzyknął i popatrzył na swą nogę.

Chmurnie spoglądał kilka razy na nogę, to na mnie, wreszcie podszedł do nagrobka, na którym siedziałem, schwycił mnie za obie ręce i trzymając za nie wygiął mnie w tył, jak mógł najwięcej tak, że oczy jego groźnie patrzyły na mnie z góry a ja bezradnie spoglądałem nań z dołu.

— No, słuchaj! — rzekł. — Chodzi o to, czy mam cię zostawić przy życiu, czy nie? Wiesz, co to pilnik?

— Tak, panie!

— A wiesz, co to pokarm?

— Tak, panie!

Za każdym pytaniem przechylał mnie niżej i niżej, widocznie w tym celu, by przekonać mnie o mej bezradności i niebezpieczeństwie, w jakim się znajdowałem.

— Dostarczysz mi pilnika?. — Przechylił mnie jeszcze niżej. — Przyniesiesz mi coś do zjedzenia? — Jeszcze mię przegiął niżej. — A jeśli nie przyniesiesz, wyrwę twe serce i wątrobę! — Jeszcze nacisnął niżej.

Tak przestraszyłem się i tak mi się zakręciło w głowie, że z całych sił uczepiłem się go rękami i rzekłem:

— Nie byłbyś pan łaskaw postawić mię głową do góry... może wówczas w głowie przestanie mi się kręcić i będę mógł lepiej

słyszeć pana.

Zamiast odpowiedzi tak mną zakręcił, że zdawało mi się, jakby wraz ze mną kościół wywrócił koziółka. Następnie chwycił mnie za obie ręce, postawił na płycie grobowca i przemówił do mnie temi strasznymi słowami:

— Jutro rano przyniesiesz mi pilnik i coś do zjedzenia. I to przyniesiesz tu na te stare okopy. Masz to zrobić i nikomu nigdy ani słowem, ani znakiem; nie dasz poznać, żeś widział takiego człowieka, jak ja. Tylko wtedy zostaniesz przy życiu. Odważ się nie posłuchać mnie i zdradź się jakim słówkiem, a natychmiast wyrwę ci serce i wątrobę i pożrę! Nie myśl, że jestem tu sam. Jest tu wraz ze mną jeden młodzieniec. W porównaniu z nim jestem — prawdziwym aniołem. Słyszcy każde słowo, jakie mówię do ciebie i wie doskonale, jak należy się rozprawić z takim malcem, jak ty i z jego sercem — i wątrobą. Taki jak ty malc powinien unikać go. Choćbyś zamykał drzwi na klucz, choćbyś krył się w ciepłej pościeli, choćbyś otulał się w swą kołdrę, choćbyś myślał, że jesteś zupełnie bezpiecznym, młody człowiek mimo to cicho, pocichutku przekradnie się do ciebie i uprowadzi cię z domu. Wiele, bardzo wiele trudu mnie kosztowało wstrzymanie tego człowieka, aby się nie rozprawił z tobą. Ach, jak trudno było zatrzymać go, by się nie rzucił na ciebie. Cóż powiesz na to?

Przyrzekłem mu, że przyniosę nazajutrz rano pilnik i trochę jedzenia — jeśli znajdę.

— Powiedz: — „niech mnie Bóg skarże, jeśli nie przyjdę!”

Powtórzyłem te słowa, a on postawił mnie na ziemi.

— Uważaj! — mówił. — Pamiętaj, oo masz zrobić i nie zapomnij o młodym człowieku. Idź teraz do domu!

— Dob... dobrej nocy, panie! — ledwo wyjąkałem.

— Oczywiście! — rzekł, obrzucając wzrokiem; wilgotną, błotnistą okolicę. — Jednego tu tylko można sobie życzyć... by być żabą lub rybą.

Drżąc całym ciałem, schwycił się rękami, jakby w obawie, że się rozleci i utykając, powłókł się do niskiego płotu kościelnego.

Patrzyłem na niego, kiedy przechodził wśród pokrzyw i kolących krzaków, które rosły po brzegach zielonego nasypu i zdawało mi się, że starannie omija mogiły, bojąc się, by z nich nie wysunęły się ręce martwych, nie schwyciły go za nogi i nie wciągnęły do siebie, do mogił.

Doszedłszy do kościelnego płotu, przelażł przezeń, jak człowiek, któremu nogi zdrętwiały i nie zginają się, zatrzymał się tu i spojrzał w moją stronę. Skoro tylko to spostrzegłem, puściłem się pędem do domu. Nie ustając w biegu, na jakimś zakręcie obejrzałem się w tył i widziałem, że idzie ku rzece, schwyciwszy się rękami jak poprzednio, z trudem przesuając chorą nogę po ogromnych kamieniach, rozrzuconych tu i tam dla wygody pieszych na czas ulewnych deszczów i powodzi.

Moczar widniał na horyzoncie jakby długa ciemna smuga, kiedym znowu się zatrzymał, by spojrzeć na niego; rzeka też wyglądała, jak smuga, ale nie tak już szeroka i czarna, niebo zaś poza nią, jak pasmo smug kolorowych, porozdzielanych ciemnymi. Na samym brzegu rzeczki ledwie mogłem rozróżnić dwa czerniejące przedmioty obok siebie; jednym z nich była wiecha, przy której lądowali rybacy; był to drąg, na szczycie którego zatknięto dnem do góry beczkę bez obręczy. Drugim przedmiotem była szubienica, a na niej resztki łańcuchów, na których niegdyś powieszono pirata. Człowiek szedł w stronę tej

ostatniej; jakby sam był piratem, który zmartwychwstał i pojawił się tu, by go znowu powieszono. Myśl ta przestraszyła mnie i zdawało mi się, że krowy też popodnosiły łby i patrzyły za nimi, choć nie mogłem pojąć o czym wogóle mogły myśleć. Oglądnałem się dookoła, czy niema gdzie w pobliżu straszego młodzieńca, ale nigdzie nie dojrzałem najmniejszych śladów jego obecności. Znowu mnie ogarnął strach i nie zatrzymując się ni chwili, pobiegłem do domu.

Rozdział II.

Siostra moja, pani Józefowa Hardżeri była o dwadzieścia lat starszą odemnie i cieszyła się wielkim wzięciem u sąsiadów dlatego, że wychowywała mnie „twardą ręką”. Wiele razy wówczas próbowałem wyjaśnić znaczenie tego dziwnego wyrażenia, a wiedząc, jak ciężką i silną była jej ręka i jak często kładła ją na swego męża i na mnie, doszedłem do przekonania, że taką ręką wychowuje nie tylko mnie ale i Józefa Hardżeri.

Nie na dobroduszną wyglądała moja siostra i robiła takie na mnie wrażenie, jakby swą „ręką” wzięła za męża Józefa Hardżeri. Józef był bardzo pięknym mężczyzną, z jasnymi, wijącymi się włosami, spadającymi na twarz, z oczyma nieokreślonego błękitnego koloru, zlewającego się z białkami oczu. Był to nadzwyczaj uległy, dobroduszny, czuły i wesoły człowiek i dobry towarzysz, Herkules z wyglądu i ze słabości swego charakteru.

Siostra moja miała czarne włosy, czarne oczy i niezwykle czerwoną twarz; tak, że często przychodziło mi do głowy, czy zamiast mydła nie używa do mycia muszkatułowego kwiatu.

Wzrostu wysokiego, koścista, nosiła zawsze gruby fartuch, związany z tyłu w dwie pętle, z czworoboczną zasłoną na piersi, całą nabitą igłami i szpilkami. Fartuch ten uważała za specjalną ze swej strony zasługę i wiecznie robiła wymówki Józefowi, że musiała go nosić. Nie wiem doprawdy, dlaczego go nosiła, ale jeżeli już musiała nosić, czemu nie zdejmowała go przez cały dzień.

Kuźnia Józefa przylegała do naszego domu, zbudowanego z drzewa, jak większość budynków naszej okolicy w tym czasie. Ody przybiegłem z cmentarza, kuźnia była już zamknięta, a Józef siedział w kuchni. Józef i ja byliśmy współuczestnikami cierpień i żyliśmy z sobą w przyjaźni. Tym razem nie zdążyłem otworzyć drzwi i zajrzeć do kuchni, gdy po przyjacielsku rzekł mi:

— Pani Józefowa już ze dwadzieścia razy wychodziła cię szukać, Pip! Przed chwilą wyszła znowu.

— Tak?

— Tak, Pip — rzekł Józef — a co gorsza wzięła ze sobą „łaskotkę”.

Usłyszawszy niemiłą wiadomość, posunąłem się ku światłu i zacząłem — kręcić jedyny guzik mej kurtki, póki się całkiem nie oderwał. „Łaskotką” nazywaliśmy trzcinę z cienkim końcem, która zmiękła od częstego stykania się z moim wierzchnim odzieniem.

— To siadała — mówił Józef — to zrywała się, chwyciła za różgę, rzucała się i miotała. Ot co wyprawiała — mówił, poprawiając pogrzebaczem w kominie. — Tak, Pip, rzucała się i miotała!

— A dawno wyszła, Józiu?

Zawsze zwracałem się do niego, jak do starszego dziecka, albo do równego.

— Tak — odpowiedział, patrząc na zegarek — z pięć minut temu. Pip! Idzie!... Skryj się prędko przyjacielu za drzwi!... Tu, za ręcznik!

Usłuchałem go. Siostra żywo otworzyła drzwi i w tej chwili poczuła za niemi jakąś przeszkodę, od razu domyśliła się co to i puściła w ruch różgę. W końcu pchnęła mnie na Józefa — często służyłem jej za przedmiot do rzucania w małżeńskich nieporozumieniach — a Józef zadowolony, że mógł mnie wesprzeć, wsunął mnie w zagłębienie kominka i zasłonił sobą.

— Gdzieś przepadał, smarkaczu? — rzekła, tupiąc nogą. — Mów mi zaraz, gdzieś przepadał? Cóż to? Ha? Chciałeś mnie zaniepokoić? Chciałeś mnie przestraszyć? Wyrzucę was wszystkich stąd, choćby było pięćdziesięciu Pipów i pięciuset Hardżerich.

— Byłem tylko na cmentarzu — odpowiedziałem ze swego miejsca — płacząc i rozcierając sobie ciało.

— Na cmentarzu! — Gdyby mnie nie było, dawnobyś już był na cmentarzu! Kto cię „własną ręką” wychował?

— Ty — odpowiedziałem.

— A jak to uczyniłam, radabym wiedzieć? —

— Nie wiem — wyjąkałem.

— Nie wiesz! A ja wiem, że już nigdy więcej tego nie uczynię. Śmiało mogę powiedzieć, że ani razu nie zdjęłam tego fartucha od czasu twego narodzenia. Dość mi, że jestem żoną kowala, jeszcze mam być twoją matką!

Smutno patrzyłem na ogień i różne myśli przelatywały mi

przez głowę. Myślałem o zbiegu z żelazną okową na nodze, o tajemniczym młodym człowieku, o pilniku, o pożywieniu, o przygniatającym mnie strachu, pod wpływem którego gotowałem się okraść ludzi, co dali mi przytułek; zdawało mi się, że rozżarzone węgle na kominku z wyrzutem patrzą na mnie.

— Ach! — mówiła, stawiając trzcinkę na zwykłe miejsce. — Cmentarz... tak! O czym-że macie obaj mówić, jak nie o cmentarzu! (Żaden z nas ani słowa o cmentarzu nie wspomniał.) Czy wcześniej, czy później złożycie mię na cmentarzu, złożycie!... Piękna z was będzie parka beze mnie, lepiej już o tem nie mówić.

Póki pani Józefowa krzątała się, przygotowując herbatę, Józef pilnie patrzył na mnie, jakby rozważał, jakaby z nas była para, gdyby wbrew oczekiwaniom spełniło się wyżej wspomniane zdarzenie. Siedział wciąż w jednakowej pozycji, gładząc prawą ręką swe włosy i bokobrody, śledząc uważnie oczyma wszystkie ruchy pani Józef owej, co czynił zwykle, gdy była wt takim usposobieniu.

Siostra zawsze jednakowo przygotowywała nam chleb z masłem. Silnie przyciskała bochenek do swej sukni na piersi, wskutek czego wbijały się weń i szpilki i dostawały się z nim do naszych ust. Potem brała nożem masło (nie zbyt wiele) i smarowała niem chleb po aptekarsku, jak plaster, posługując się przy tej czynności obiema stronami noża z nadzwyczajną zręcznością i wprawą i kunsztownie zbierała masło z brzegów skórki. Wygładziwszy nożem powierzchnię masła, odkrawała grubą kromkę i nie odejmując jej od bochenka, dzieliła na pół, poczem połowę podawała Józefowi a drugą mnie.

Tego dnia byłem głodnym, lecz nie mogłem się zdecydować na zjedzenie swej porcy. Czułem, że winienem zostawić cośkolwiek w zapasie dla straszego znajomego i jego współnika, okropnego młodego człowieka. Wiedziałem, jak porządnie prowadziła swe gospodarstwo pani Józefowa i sądziłem, że najstaranniejsze poszukiwania nie dostarczą mi nic, czemby się można było pożywić; dlatego zdecydowałem się ukryć swój kawałek chleba z masłem, przepuszczając go między spodniami a nogą.

Nie łatwo, oj, jak nie łatwo było to spełnić. Lżejby mi było zeskoczyć z dachu wysokiego domu lub nurkować w głębokiej wodzie. A jeszcze trudniej było uczynić to tak, by nie dojrzał Józef. Już wspomniałem, że żyliśmy w przyjaźni i mieliśmy zwyczaj wieczorami porównywać, kto z nas prędzej zje swą kromkę; milcząc też pokazywaliśmy ją sobie wzajemnie, jakby pobudzając jeden drugiego. I tym razem Józef parę razy pokazywał mi swój szybko zmniejszający się kawałek, dając mi znak, bym przystąpił do zwykłych wyścigów, za każdym jednak razem, ku swemu zadziwieniu widział, że siedzę, jak poprzednio, trzymając na jednym kolanie żółty kubek z herbatą a na drugim nie tknięty kawałek chleba z masłem. Wreszcie, tracąc nadzieję, zdecydowałem, że cokolwiekby się stało, muszę to uczynić i to w najprostszej formie, stosownie do okoliczności. Korzystając z chwili, gdy Józef, popatrzawszy na mnie, odwrócił się, wsunąłem chleb do spodni.

Józef widocznie rozstrojony tem, że straciłem apetyt, w zamyśleniu, bez żadnego zadowolenia, odgryzał kąsek za kąskiem. Wolniej niż zwykle żuł je, zatrzymując się chwilami, a potem łykał, jak pigułki. Miał zamiar odgryźć nowy kąsek i już

pochylił na bok głowę, aby móżdżek to łatwiej uczynić, gdy nagle wzrok jego padł na mnie i spostrzegł, że moja kromka chleba gdzieś znikła.

Tak był zdziwionym tem, co się stało, że z chlebem w ustach wytrzeszczył na mnie oczy, co oczywiście nie mogło ująć uwagi siostry.

— Co się stało? — zapytała, stawiając kubek na stół.

— Słuchaj no — mruzczał do mnie Józef, kiwając głową z wyrzutem — Pip, przyjacielu! Biedy się dopytasz. Udławisz się... Przecież nie zdążyłeś go pogryźć!

— Cóż tam takiego się stało? — pytała siostra, jeszcze ostrzejszym tonem.

— Jeśli możesz odkaszlnąć Pip, zmiłuj się uczynić to — mówił Józef, przechodząc stopniowo do obawy. — Sztuka sztuką, a zdrowie zdrowiem.

Siostra wreszcie straciła cierpliwość i rzuciwszy się na Józefa dwa razy szarpnęła go za bokobrody i uderzyła nim o ścianę; siedziałem, nie ruszając się na miejscu, czując, że jestem winnym tego, co się stało.

— No, teraz spodziewam się, że mi powiesz o co chodzi, ośle!
— zawołała siostra, zadyszana z podniecenia.

Józef bezradnie spojrzał na nią, potem również bezradnie na mnie.

— Wiesz co, Pip — mówił uroczyście, trzymając ostatni kęs chleba w ustach i to takim przyjacielskim tonem, jakbyśmy byli obaj równi. — Ale to połknąć taki niezwykły kęs!!...

— Wszystko odrazu połknął... tak? — krzyknęła siostra.

— Wiesz, przyjacielu, — robiłem, i ja takie sztuki, gdy był w

twoim wieku... i to dość często... z takimi samymi chłopcami... ale nigdy nie widział, aby ktokolwiek połykał takie kawały. I jakeś ty z tego nie zginął!

Siostra moja, jak szalona, rzuciła się ku mnie, schwyciła za włosy i nic więcej nie rzekła, prócz tych strasznych słów:

— Chodź mi zaraz i pij lekarstwo!

Jakiś niegodziwy lekarz wprowadził w tym czasie w użycie dziegciową wodę, jako lekarstwo na wszystkie choroby, a pani Józefowa miała w swojej szafce znaczną ilość tego środka; wierzyła, że lecznicze jego właściwości odpowiadają zupełnie jego obrzydłemu smakowi. Leczniczy eliksir, jako środek wzmacniający, wiele już razy we mnie wlewano w takiej ilości, że czuć było odemnie dziegciem, jakby od świeżo posmolonego parkanu. Tego wieczora doza, przeznaczona dla mnie, doszła największych rozmiarów; pani Józefowa wlała mi ją wprost z butelki, ściskając mi głowę pod ręką. Józef musiał wypić połowę dozy pod pozorem, że „źle mu się zrobiło”. Sądząc po sobie, mogę istotnie przyznać, że źle mi się robiło nie tylko przed przyjęciem lekarstwa, ale i po przyjęciu.

Niema nic przykrzejszego nad wyrzuty sumienia, które męczą dorosłego człowieka lub dziecko, zwłaszcza jeśli do nich przyłącza się jeszcze ciężkie brzemię, ukryte w spodniach; wówczas (mogę to stwierdzić własnym doświadczeniem) znoszą ludzie największą karę w świecie. Świadomość, że mam zamiar okraść pani Józefową — (nigdy nie myślałem, że i Józefa, ponieważ gospodarstwa nie uważałem za jego własność) — połączona z koniecznością przytrzymywania chleba z masłem, gdy siedział, albo gdy musiałem przejść po co przez kuchnię, doprowadzała mnie do rozpacz. Gdy wiatr, wiejący od moczaru,

wpadał do komina i podniecał płomień ogniska, zdało mi się, że słyszę skądś z zewnątrz głos człowieka z żelazną okową u nogi, mówiący, że nie myśli umrzeć z głodu do jutra i żądający, by mu natychmiast jeść dano. Potem myślałem nad tem, co będzie: jeśli młodzieniec, którego wstrzymywał z takim trudem, aby nie rzucił się na mnie, straci wreszcie cierpliwość, albo omyli się co do czasu i będzie się czuł w zupełnym prawie, nie czekając jutra, dobrać się do mego serca i wątroby? Jeśli to prawda, że włosy stają dębem, moje już z pewnością musiały się podnieść. A może to nigdy nikomu się nie przytrafiło?

Była wilia Bożego Narodzenia i kazano mi mieszać pudding, przeznaczony na dzień jutrzejszy; mieszałem go akurat od siódmej do ósmej wieczorem. Spełniałem to z kulą u nogi (co zmuszało mnie do ciągłego myślenia o człowieku z żelazną okową) i wciąż czułem, jak chleb z masłem, zsuwa się do kostki przy najmniejszym poruszeniu, co w końcu stało się nie do zniesienia. Na szczęście upatrzyłem dogodną chwilę i wyśliznąłem się do swej izdebki na poddaszu.

— Cóż to! — zawołałem, siadając przy kominku, aby ogrzać się cokolwiek przed snem. Strzelono z wielkiej armaty?... Słyszysz Józefie?

— A... — odpowiedział. — Znowu jakiś więzień zbiegł.

— Co to znaczy? — spytałem.

Pani Józefowa, która miała zwyczaj wszędzie wmieszać się ze swemi objaśnieniami, krzyknęła takim grubym głosem, jakim zwykle proponowała dozę dziegciowej wody.

— Uciekł! Uciekł!

Powiedziawszy to, zajęła się znów pończoszkową robotą, a ja korzystając z tego, spytałem szeptem Józefa:

— Co to takiego więzień?

Józef założył swe wargi, jak się to czyni, gdy się mówi cicho, ale z całej odpowiedzi zrozumiałem tylko jedno słowo „Pip”.

— Wczoraj wieczorem — mówił głośno — po zachodzie uciekł więzień! Strzelono, aby dać znać o ucieczce. Teraz widocznie uciekł drugi.

— Kto strzelał? — pytałem.

— Co za głupi malec! — wmieszała się siostra, ponuro patrząc na mnie z poza swej roboty. — Do wszystkiego się musi wtrącić ze swemi pytaniami. Nie dopytuj się a nikt cię nie okłamie.

Pomyślałem, że źle czyni zapowiadając, że i onaby kłamała, gdybym do niej zwrócił się z pytaniem. Ale ona nigdy przy nikim nie liczyła się z wyrażeniami.

W tej chwili Józef jeszcze bardziej podniecił mą ciekawość, usiłując wymówić jakieś słowo. Nie zrozumiałem go!

— Pani Józefowo — rzekłem, zwracając się do niej, jakby do pierwszorzędnego źródła, — chciałbym wiedzieć — jeśli się nie pogniewasz — skąd był ten wystrzał?

— Ach ty nieboskie stworzenie — krzyknęła siostra takim głosem, jakby powiedziała co innego, niż chciała. — Z pontonu!

— O! — zawołałem, patrząc na Józefa. — Ponton!

Józef kaszlnął z odcieniem wyrzutu, jakby mówił:

— Mówiłem ci!

— A co to takiego ponton?

— No jakże wam się podoba ten malec! — krzyknęła siostra, wskazując na mnie drutem i z niezadowoleniem kręcąc głową.
— Odpowiedzieć mu na jedno pytanie, on cię zarzuci innemi.

Pontony to więzienne okręty, które stoją tam, daleko za bagnem.

— Chciałbym wiedzieć, kogo tam sadzają i zaco? — pytałem z rezygnacją.

Tego już było trochę za wiele dla pani Józefowej, zerwała się ze swego miejsca.

— Słuchaj, malcze! Nie na to wychowywałam cię „własnymi rękami“, abyś męczył ludzi swemi głupimi pytaniami! Wielka zasługa, niema co mówić! Każdy miałby prawo mnie ganić. Na pontony, widzisz, wyprawiają takich, którzy zabijają, kradną, wyrabiają fałszywe monety i szkodzą innym. Tacy ludzie zawsze zaczynają od tego, że męczą wszystkich pytaniami i dlatego — precz, natychmiast idź spać!

Nigdy mi nie dawali świecy, gdym szedł spać, to też drapałem się po schodach w zupełnej ciemności; w głowie mi szumiało i dzwoniło prawdopodobnie stąd, że pani Józefowa akcentowała ostatnie słowa akompaniamentem, który wykonywała na mej głowie z pomocą naparstka. Jeszcze większy strach owładnął mną na myśl, że jestem przeznaczony do pontonów. Widziałem obecnie jasno tę drogę przed sobą. Zacząłem od pytań, a oto przygotowywałem się okraść panią Józefową.

Od tego czasu, który pozostał daleko za mną, często myślałem, że ludzie mało rozumieją, do czego może doprowadzić dziecko strach. Nie chodzi o to, czy ważną jest jego przyczyna, chodzi o sam strach. Czułem śmiertelną obawę na myśl o młodzieńcu, pragnącym mego serca i wątroby; czułem śmiertelny strach na myśl o jego towarzyszu z żelazną okową; bałem się samego siebie z tego powodu, że dałem taką okropną obietnicę. A mimo to nie śmiałem; spodziewać się pomocy ze

strony swej wszechmogącej siostry, która zawsze, w każdym czasie gotową była mnie odepchnąć. Z przerażeniem myślę o tem, na comógłbym się odważyć dzięki strachowi.

Za każdym razem, gdym; zasypiał tej nocy, zdawało mi się we śnie, że silny prąd wody niesie mnie rzeką wprost na pontony i że w tej samej chwili, gdy przepływałem obok szubienicy, widmo pirata woła do mnie przez tubę, bym lepiej, teraz nie płynął do brzegu, bo mnie powieszą, w przeciwnym razie zaś odłożą to na później. Bałem się usnąć, choć chciało mi się spać; wiedziałem, że muszę spełnić kradzież z pierwszym przebłyskiem dnia. Nocą nic nie mogłem uczynić, bo ogień wówczas jeszcze nie tak łatwo było wzniecić; musiałbym w tym celu wziąć hubkę i krzesiwo, a to wywołałoby hałas podobny do szczęku łańcucha tego pirata.

Gdy czarna aksamitna zasłona nocy, widniejąca za mojem oknem, obramowała się szarawym blaskiem, wyskoczyłem z pościeli i zszedłem na dół po schodach. Najmniejszy trzask i szmer, gdy schodziłem po stopniach, zdawało się, mówiły: „Trzymaj złodzieja!” lub „Wstawaj Józefie!” W spiżarni, gdzie przygotowano wiele zapasów, wedle zwyczaju, na nadchodzące święta, przestraszyłem się okropnie na widok wiszącego zajaca, który, jak mi się zdawało, mrugnął do mnie, gdym był doń zwrócony. Nie miałem jednak czasu do sprawdzenia swych wrażeń, ani do rozmyślań i wogóle na nic, musiałem korzystać z każdej chwili. Wziąłem kawał chleba i sera, pół garnka drobno usiekanego mięsa, zawiązałem to w kawałek płótna, wraz z wczorajszą kromką chleba z masłem, odlałem z kamiennego gąsiora trochę wódki do przygotowanej na to szklanej butelki, poczem dolałem do pełności do kamiennego gąsiora z konewki,

stojącej w kuchennej szafce, wziąłem prócz tego kość z trochę mięsa i piękny okrągły pieróg nadziany wieprzowiną. Mało już nie odszedłem bez tego pieroga, ale oglądając półki czy niema tam czego odpowiedniego, zauważyłem okrągłe, gliniane naczynie, zakryte z góry; zajrzawszy doń dostrzegłem pierog i zaraz zabrałem go, w nadziei, że nie tak prędko może być potrzebnym, a zatem nie odrazu poznają brak jego.

W kuchni były drzwi, łączące ją z kuźnią; otworzyłem je i wyszukałem pilnik między przyrządami Józefa. Zamknąłem za sobą drzwi do kuźni, wyszedłem przez te, któremi wróciłem wczoraj z cmentarza, zamknąłem je i zacząłem biedz ku moczarom.

Rozdział III.

Ranek był chmurny i mglisty. Zewnętrzna strona mego maleńkiego okna była obsiana osiadłymi na niej kropelkami wilgoci, jakby jakiś leśny duch przepłakał nad niem całą noc i przez ten czas posługiwał się niem, jak chustką. Wszystko dookoła pokryte było wilgocią, błyszczącą na nagich płotach i wątlej trawie, podobną do grubej pajęczyny, wiążącej gałązki roślin. Ta sama kleista wilgoć pokrywała parkany i bramy, a z bagna podnosiła się tak gęsta mgła, że dotąd nie dojrzałem drewnianego palca, wskazującego drogę do naszej wioski, do której zresztą nikt nigdy nie zachodził. Gdy zaś spojrzałem nań i widziałem, jak mgła kropla za kroplą spadała w dół, wydał mi się widmem, wskazującym mi ponton.

Mgła gęstniała w miarę zbliżania się do moczaru, tak że teraz już nie ja biegłem do otaczających mnie przedmiotów, lecz one

ku mnie. Zaniepokojone sumienie zwiększało jeszcze nieprzyjemność wycieczki. Wrota, napisy i rowy rwały się ku mnie przez mgłę i krzychały: — „Malec z czymś w rodzaju pieroga z wieprzowiną! Zatrzymajcie go!” — Zupełnie niespodzianie pojawiło się przedemną bydło z rozdętymi nozdrzami, z których buchała para. — „Ej, ty, mały złodzieju!” — Czarny byk z białą plamą na szyi, która wydawała się memu winnemu sumieniu podobną do kołnierza pastora, uporczywie wpijał się we mnie oczami i z takim pełnym wyrzutem wyrazem poruszał głową, że nie mogłem wytrzymać i zawołałem: — „Nie jestem nic winien, panie! Zrobiłem to nie dla siebie!” — W odpowiedzi na to schylił łeb, wypuścił z nozdrzy kłęb pary, zadarł w górę ogon i kopnąwszy tylnymi nogami, znikł w jednej chwili.

Cały ten czas szedłem ku rzece. Pomimo tego, że szybko posuwałem się naprzód, nie mogłem rozgrzać nóg; chłód i wilgoć tak ściśle je objęły, jak żelazna okowa nogę człowieka, do którego szedłem. Dobrze znałem drogę do okopów, bo często w niedzielę przychodziłem tu z Józefem, który siedząc raz ze mną na starej armacie, mówił, że nieraz wyprawiać się tu będziemy, gdy zostanę jego uczniem. Tymczasem skutkiem gęstej mgły zeszedłem w prawo z właściwej drogi i musiałem wracać w dół rzeki błotnistym wybrzeżem, pokrytem śliskimi kamieniami i wiechami, wskazującemi linię, do której dochodzi wylew rzeki. Dążąc naprzód z możliwą dla mnie szybkością, przebrnąłem rów w pobliżu okopów i chciałem już biec po nasypie z drugiej strony rowu, gdy nagle ujrzałem siedzącego człowieka. Zwrócony plecami ku mnie, ze złożonemi rękami i nisko pochylony naprzód, spał twardo.

Pomyślałem, że bardzo się ucieszy, gdy w tak niespodziewany sposób otrzyma śniadanie i dlatego ostrożnie podszedłem ku niemu i z lekka dotknąłem go w ramię. Szybko zerwał się na nogi i zobaczyłem nie wczorajszego, lecz jakiegoś innego człowieka.

Miał taką samą grubą szarą odzież, taką samą wielką żelazną okowę, także utykał i mówił chrapliwym głosem, drżał od chłodu i wszystko było podobne, jak u tamtego człowieka, z wyjątkiem twarzy i płaskiego z szerokim skrzydłem kapelusza na głowie. Wszystko to zmiarkowałem w jednej sekundzie. On zaś ze straszmem przekleństwem rzucił się ku mnie i chciał mnie uderzyć, ale nie trafił, pośliznął się, mało nie upadł i zaczął uciekać, potknął się jeszcze dwa, trzy razy i znikł we mgle.

Stanowczo jest to właśnie ten młody człowiek! — pomyślałem i serce me zabiło na tę myśl. Mogę dodać, że poczułbym też i ból w wątrobie, gdybym wiedział tylko, gdzie się ona znajduje.

Wkrótce potem byłem w okopach i zastałem wczorajszego skazańca, który w oczekiwaniu na mnie błąkał się tu i tam. Było mu widocznie bardzo zimno. Myślałem, że padnie na ziemię i umrze z zimna w mej obecności. Oczy jego płonęły żądzą jadła i gdy mu podałem pilnik, z zimną krwią odłożył go na bok na trawę, a całą swą uwagę skupił na zawiniątku w mych rękach. Tym razem nie wykręcał mnie głową w dół, stał spokojnie i patrzył, jak wypróżniałem kieszenie.

— Co tam masz w butelce, mały? — zapytał.

— Wódkę.

Jadł już przyniesione drobno siekane mięso, wpychając je do ust, nie jak człowiek, zaspokajający swój głód, lecz jak ten, co w pośpiechu pakuje swe rzeczy do walizki. Zatrzymał się tylko

na chwilę, aby wypić kilka łyków wódki. Drżał całym ciałem i zdawało mi się, że odgryzie i połknie szyjkę butelki.

— Ma pan pewno febrę? — spytałem.

— To samo myślę, mój mały! — odpowiedział.

— Tu niezdrowe miejsce — rzekłem. — Pan leżał na ziemi, a tu mokro i łatwo się nabawić febry... lub reumatyzmu.

— Jeszcze zdążę zjeść śniadanie, zanim śmierć nastąpi — powiedział. — I będę jadł, choćby mnie potem mieli prowadzić na szubienicę. Nic to, ustanie ten dreszcz, ustanie... gotów jestem się z tobą założyć, malcze!

Chciewie łykał drobno siekane mięso, chleb, ser, pierogi z wieprzowiną bez wyboru, jedno za drugim, z trwogą spoglądając w mgłę, otaczającą nas i od czasu do czasu przestając żuć, by nasłuchiwać. Każdy rzeczywisty i urojony odgłos, czy dźwięk żelaza na rzece, czy wrzask czegoś żyjącego na moczarze trwożyły go i wówczas pytał.

— Nie myślisz ty mnie, dyable, oszukać? Nikogoś nie sprowadził ze sobą?

— Nie, panie! Nie!

— A policyi nie uwiadomiłeś?

— Nie!

— No, dobrze — rzekł — wierzę ci. I to prawda! Na cóżby się przydał taki szczeniak, jak ty, gdyby w twych latach zamyślał pomagać innym do dręczenia na śmierć tak nieszczęśliwego stworzenia, jak ja.

Dziwnie zagrało mu w ustach przy tych ostatnich słowach, wytarł oczy podartym, grubym rękawem.

Było mi go bardzo żal, a widząc, jak stopniowo zabrał się do

pieroga z wieprzowiną, rzekłem mu wreszcie:

— Bardzo jestem zadowolony, że pierog panu smakuje.

— Co mówisz?

— Rad jestem, że pierog panu smakuje.

— Dziękuję, mój mały! Tak, smakuje mi.

Często przyglądałem się, jak jadł pokarm nasz podwórzowy pies i znalazłem wiele podobieństwa w sposobie ich jedzenia. Podobnie jak pies z początku odgryzał kęsy, chwycił je i spieszenie, nie żując ich, połykał, oglądając się równocześnie na wszystkie strony, jakby w obawie, czy się kto nie pojawi i nie wyrwie mu pieroga. Znajdował się wogóle w takim stanie, że z trudem mógł ocenić wartość pieroga, choć nikomu z pewnością nie dozwoliłby podzielić go z sobą bez wyszczerzenia zębów na nieproszonego gościa. W tem zupełnie był podobny do psa.

— Boję się, że nic nie zostawi pan dla niego — nieśmiało zauważyłem po chwili milczenia, podczas którego namyślałem się, czy nie będzie niedelikatną z mej strony taka uwaga. — Więcej już nic w spiżarni nie zostało.

Tylko wiara w rzeczywistość wspomnianego faktu pobudziła mnie do zwrócenia się doń z tą uwagą.

— Zostawić dla niego? Dla kogo? — spytał, przestając gryźć skórkę pieroga.

— Dla młodego człowieka, o którym pan mówił... który ukrył się razem z panem.

— O... o! — krzyknął z czemś w rodzaju tłumionego śmiechu.

— Jemu? Tak, tak! On obejdzie się i bez jedzenia; niczego nie potrzebuje.

— Zdawało mi się, że głodny — odrzekłem.

Przestał jeść i spojrzał na mnie z największym zdziwieniem, a zarazem z niedowierzaniem.

— Wydawało ci się? Kiedy?

— Teraz właśnie.

— Gdzie?

— Ot tam! — rzekłem. — Siedział i spał, a ja myślałem, że to pan.

Schwycił mnie za kurtkę i tak spojrzał na mnie, że przestraszyłem się, czy nie wróciła mu poprzednia chęć podejrzenia mi gardła.

— Był ubrany tak, jak pan, tylko z kapeluszem na głowie — mówiłem, drżąc ze strachu — i... i... — chciałem delikatnie to wyrazić — i miał te same powody życzyć sobie pilnika. Słyszał pan dziś w nocy wystrzał?

— Tak, prawda, — rzekł do siebie — zdaje się strzelali.

— Dziwne, że nie jest pan pewien tego — odpowiedziałem. — Myśmy słyszeli w domu... a przecież do nas dalej, a i drzwi były zamknięte.

— Widzisz — rzekł — gdy człek musi włączyć się po tem bagnie z pustą głową i pustym żołądkiem, gdy ginie z zimna i głodu, całą noc nic więcej nie słyszy prócz wystrzałów i krzyków, które go prześladują. Widzi żołnierzy w czerwonych mundurach z pochodniami w rękach... widzi, jak coraz ciaśniej i ciaśniej otaczają go kołem. Słyszy, jak wywołują jego numer i wołają po imieniu, jak szczękają ich muszkiety i rozlega się komenda: — „Pal!” — Wycelowali i... nic! Nie jedną ich partyę, niech ich djabli wezmą, widziałem dziś w nocy, ale setki... Raz, dwa! Raz, dwa! A co wystrzałów!... Widziałem, jak drżała mgła i

nie przestała drżeć nawet z przebłyskiem dnia... Ale co do tego człowieka — dotychczas mówił, jakby zupełnie zapomniał o mej obecności, — nie zauważyłeś u niego czegoś charakterystycznego?

— Całą twarz miał w siniakach — rzekłem, starając się przypomnieć go sobie.

— Czy nie tutaj? — zawołał, uderzając się z całej siły w lewy policzek, dłonią.

— Tak, tutaj!

— Gdzież on? — pytał, chowając resztki jedzenia pod szarą kurtkę. — Wskaż mi, w którą stronę poszedł. Wyśledzę go nie gorzej od tresowanego psa. Niech lichy weźmie okowę z mej nogi. Dajno tu pilnik, mój mały!

Wskazałem mu kierunek, w którym pobiegł ów człowiek, a on przez chwilę patrzył uważnie w tę stronę. Poczem osunął się na nędzną trawę i z wściekłością zaczął piłować swą okowę, zapominając widocznie o mej obecności a całą uwagę kierując wyłącznie na swą nogę; była na niej krwawiąca się rana, a tak nieostrożnie się z nogą obchodził, że można było sądzić, iż jest równie nieczuła, jak pilnik. Widząc, z jaką bezwzględnością obchodzi się ze swą własną nogą, znowu się przestraszyłem i poczułem, że jestem trochę za daleko od domu. Powiedziałem mu, że już czas na mnie i muszę odejść, nie spojrzał nawet, sądziłem więc, że lepiej będzie jak najprędzej oddalić się od niego. Po kilku minutach odwróciłem się i ujrzałem, że siedzi, pochyliwszy głowę nad kolanem i z wściekłością piłuje, osypując przekleństwami kajdany i nogę. Ostatni odgłos, jaki usłyszałem, gdy mgła zakryła go przed memi oczami, gdy się zatrzymał, był zgrzyt pilnika.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

